



W dniach 1-3 kwietnia 14th Louisiana Volunteer Infantry gościli u naszych południowych sąsiadów - Czechów.

Jak to uprzednio bywało impreza odbyła się w Stonetown, westernowym miasteczku w okolicach Humpolca. Klimatyczne miejsce z zabudowaniami godnymi miast Dzikiego Zachodu oraz las i polana do ćwiczeń.

Impreza odbywała się od piątku do niedzieli i zawierała tyle wydarzeń, że ich opis zajmie jeszcze trochę czasu. Ale wrażenia - bezcenne, szczególnie, że Konfederatów oraz "naszych" Jankesów było ok 16, a uczestników ponad 30 żołnierzy piechoty, plus pełen działon z armatą.

autor: Madeline

Przyjechaliśmy na miejsce. Ciemności, środek lasu. Moi współtowarzysze broni od razu weszli w rolę: „Co to za zasieki poustawiali tu ci cholerni jankesi?” – usłyszałam, kiedy mijaliśmy drewniany szlaban stojący pośrodku drogi. Przedzierając się przez chaszczce, dotarliśmy do obozowiska. Po jednej stronie namioty jankeskie, po drugiej nasze. Przy ognisku grzeją się zgodnie chłopcy z obu stron barykady. Podobno tym razem będzie więcej „ich” niż „nas”. Czyli prawdziwie historycznej stanie się zadość. W każdym razie z 14 z Luizjany stawiła się znakomita większość. Po powitaniach rozpoczęło się rozbijanie namiotów. Przy świetle starej latarki stanęły w rzędzie kolejne białe trójkąty. Dostałam swój namiot, duży, elegancki, za co wciąż

jestem wdzięczna wszystkim, którzy się do tego przyczynili.

Rano pobudka – gwizdek, trąbka, okrzyki. Na śniadanie czarny chleb i kawa. Potem zbiórka w szeregu i pierwsza musztra. Znow wspólnie – szarzy z niebieskimi. I to była chyba jedyna rzecz, która w tym momencie uświadamiała mi, że nie cofnęłam się w czasie. Zaczął się drill – ustawianie się dwójkami, marsz w różnym tempie, później marsz po skosie i zakręcanie rotami. Po krótkiej przerwie kolejna musztra. Maszerujemy ramię w ramię z niebieskimi, komendy wydaje Flegma – jankeski podoficer. Za naszymi plecami równego szyku pilnuje Keczap w mundurze konfederackich żuawów.



Przerwa na piwo. Siadamy sobie w saloonie westernowego miasteczka, w którym gościmy. Później zaczynają się ćwiczenia z bronią. Padają kolejne komendy, a wśród nich najbardziej chyba nie lubiana po pewnym czasie *shoulder arms*. Potem ładowanie karabinów i strzelanie: na wprost, po skosie, rotami, z pozycji klęczącej i leżącej.

Pora na obiad. Do kociołka wrzucamy, co kto zdobył: fasolę, kukurydzę, cebulę, ziemniaki, kiełbasę, bekon... W sumie jedzenia jest więcej, niż potrzeba. Co to za wojna? Najedzeni rozpoczynamy kolejną musztrę. Tym razem trudne manewry w czwórkach. Zastanawiam się, czy żołnierze w ferworze walki rzeczywiście byli w stanie zachować taki szyk i kolejność strzelania.



Potem wreszcie wyczekiwana bitwa. Wkraczamy do lasu. Keczap rozstawia siły. Sceneria zupełnie jak z filmów: wzniesienie, drzewa, wielkie kamienie. Gdzieś w dali czają się federalni. Dostrzegamy, że nasi przeciwnicy ciągną do lasu armatę. Ciekawe, jak sobie z nią dadzą radę tak pod górę na kamieniach? Zaczyna się strzelanina. Na moich oczach w walce wręcz ginie jeden z dobrych druhów. Jankesi wyszli z bagnetami. To wzbudziło naszą konsternację, ale bitwę i tak wygraliśmy.

Wieczór przy ognisku. Znów zajadamy się pyszną kolacją na ciepło, a przede wszystkim śpiewamy. Spełnia się jedno z moich młodzieńczych marzeń: śpiewam „Dixie” i inne konfederackie piosenki przy akompaniamencie skrzypiec z ludźmi, którzy tak samo chcą walczyć za Południe jak ja. Trafiłam do nieba? Nie... nie ma tu przecież Orry’ego Maina. Sielską, jak na wojenne warunki, atmosferę, przerywa propozycja, że teraz jest najlepsza pora na to, żebym „porównała ptaki i wskazała najładniejszego”. Myślę, że to nie może być to, co myślę, a więc co to może być – szybka gonitwa myśli, jednak bez większej paniki. Nie będę zdradzała szczegółów, bo pewnie przydadzą się jeszcze na „przeszkolenie” kolejnych nowicjuszy. Grunt, że na koniec zaskoczona byłam nie ja, ale co najmniej dwóch z walecznych żołnierzy Konfederacji.

Na zakończenie chciałabym jeszcze raz podziękować wszystkim, z którymi spędziłam tak fantastycznie ten czas. Dzięki za namiot, wspólny drill i walkę, za picie i śpiew. Za to, że traktowaliście mnie normalnie – nie jak laleczkę, która sobie nie radzi, ani nie jak kota, którego trzeba przeczołgać. Dzięki za to, że nie zauważyłam, jeśli któryś z Was nie do końca się zgadza z obecnością baby w armii. A przede wszystkim jestem wdzięczna, że dzięki Waszemu zaangażowaniu w sprawę, dbałości o szczegóły i „koszerność” przeniosłam się jakby do wnętrza mojego ukochanego „Północ – Południe”, od którego wszystko się zaczęło.

Na wrażenia "wizualne" zapraszamy do [GALERII](#) .

Zapraszamy również do zapoznania się z filmem stworzonym przez kolegów z 58th NY,  
dokumentującym tę zacną imprezę: